

ŚWIADECTWA

Ks. Bp Ignacy Jeż

UWOLNIENI Z OBOZU DZIĘKI BOŻEJ OPATRZNOŚCI

NA ROGU OTCHŁANI I SIÓDMEGO NIEBA¹

Miałem wtedy 12 lat. Mama posłała mnie do sklepu, było popołudnie, szedłem ulicą Zieloną w Katowicach, dziś Żwirki i Wigury. Nagle usłyszałem przeraźliwy krzyk jakiejś kobiety: „Jezus Maria!” Stałem jak wryty.

Rzeczywiście, z trzeciego pietra wyleciało dziecko. Bawiło się piłką, piłka wymknęła mu się z rąk, chciało ją złapać, wychyliło się, ale tak mocno, że wypadło. To działo się w ułamku sekundy, ktoś próbował podleciec pod okno, żeby dziecko złapać, ktoś zasłonił oczy rękami, żeby nie widzieć, co się stanie. Wszyscy zamarli w oczekiwaniu na najgorsze. W tym momencie z podwórza na ulice wyszedł niezbyt zorientowany w tym, co się dzieje, „szmaciorz”. Była to wówczas postać popularna na Śląsku, stary człowiek, który chodził z wielkim workiem na plecach i zbierał szmaty. A ludzie, jeśli jakieś w domu mieli, odkładali je i gdy się w pobliżu ich domu zjawił, oddawali. Szmaciorz szedł z workiem do wózka, który zostawił przy trotuarze. W chwili gdy wychodził z bramy, nagle coś wpadło mu do worka. On stanął, zdjął worek - i wyciągnął dziecko, które krzyczało przerażone, ale całe i zdrowe. Matka zleciała z trzeciego piętra jak mogła najszybciej, spodziewając się najgorszego, a szmaciorz dał jej uratowane dziecko.

Na drugi dzień obie katowickie gazety - „Polska Zachodnia” wojewody Grażyńskiego i „Polonia” Wojciecha Korfantego opisały wypadek przy ulicy Zielonej. Ja byłem za mały i nie czytałem gazet, tylko tytuły. W jednej było napisane, że to dziecko miało wielkie szczęście, a w drugiej, że to był dziwny zbieg okoliczności. Obydwie gazety opisywały to wydarzenie, no bo co miały pisać? - Wtedy jeszcze nie było radia i telewizji.

Przeczytałem oba tytuły i zastanawiałem się, czy tylko o szczęście tu chodzi? Przecież ten szmaciorz mógł być o metr dalej albo nie dojść do tego punktu, w którym miało upaść dziecko. Takie myśli chodziły wówczas po głowie młodemu synkowi. Dla mnie było oczywiste, że to dziecko mogło spaść na bruk i się zabić. Była w tym jakaś zagadka.

¹ Fragmenty książki pt. *Przygody z Opatrznością. Z biskupem Jeżem rozmawiają Alina Petrowa-Wasilewicz i ks. Krystian Kukowka*, Księgarnia Św. Jacka, Katowice 2005. Tekst zamieszczony w tym Albumie za zgodą Autora.

UWOLNIENIE Z OBOZU

To było przedziwne. W św. Jacka mnie zamknęli, w Matki Bożej Różańcowej przybyłem do Dachau, a wyzwolili nas 29 kwietnia, w święto Katarzyny Sieneńskiej, która jest dziś patronką Europy...

W chwili aresztowania miałem za sobą pięć lat kapłaństwa. Wtedy przypomniałem sobie Filoteę św. Franciszka Salezego, którą niejedną raz czytałem. Zwłaszcza twierdzenie, że człowiek powinien starać się o swoją świętość tam, gdzie go Pan Bóg postawił. Może należy tłumaczyć to tym, że byłem młodym wikarym, jeszcze pełnym duchowego zapału, ale powiedziałem sobie, że skoro Pan Bóg stawia mnie na takiej drodze, to ją przyjmuję i sprawa jest dla mnie jasna. Czy będę wikarym w Hajdukach, czy będę siedział w więzieniu, czy w obozie, nigdy nie wiadomo, co Panu Bogu bardziej się w danej chwili podoba - czy moja działalność na zewnątrz, czy obóz, więzienie, co będzie bardziej owocne dla Jego Kościoła. Pomyślałem, że nawet gdy codziennie boli brak Ofiary Mszy św., zawsze przecież mogę składać Bogu Ofiarę Krzyża - i te ofiary też mają swój sens.

Pomyślałem też, że jeśli będzie to koniec mojego życia, to cóż, nie jest to najweselsza perspektywa, ale trzeba się przygotować nawet na śmierć. Pogodziłem się z wolą Pana Boga. Może dlatego było mi łatwiej?

Muszę powiedzieć, że u podstawy tych rozważań tkwiła wiara w Opatrzność Bożą, przeświadczenie, że nic dotychczas w moim życiu się nie działo, co nie byłoby jakimś przedziwnym Bożym planem. Że to nie jest przypadek ani zbieg okoliczności. Zyskałem przekonanie, że to przeżycie, choć straszne, też ma jakiś sens. Może okropny, może w sposobie, w środkach przekazania go nawet tragiczny, ale to ma sens.

Obóz w Dachau istniał od 1933 roku. W pierwszej fazie był przygotowany dla niemieckich komunistów i socjalistów, więc gdy nas przywieźli w 1942, ci ludzie siedzieli już od dziesięciu lat. Taki więzień już stracił to, co człowiecze w człowieku. Aby przetrwać, przyjmował rolę więziennego kapo i był najbardziej okrutnym katem dla swoich współbraci. Jego cała troska i wysiłek koncentrowały się na tym, żeby jakoś przeżyć, a że to kosztowało życie innych, na to już kompletnie nie zwracał uwagi.

Zaś bestialstwa i okrucieństwa człowiek doświadczał w tym miejscu na każdym kroku nie tylko ze strony esesmanów, co zrozumiałe, ale także współwięźniów, komunistów, ale także pospolitych bandytów. Przez pewien czas pracowałem w Geometerkomando, tam był geometra z prawdziwego zdarzenia, Witold Kabat, wspaniały człowiek, ja byłem Maschinenschreiber. Bardzo przydała mi się wówczas umiejętność pisania na maszynie, którą nabyłem jako kleryk, pisząc w czasie wakacji kolejne książki pod dyktando ks. Waleriana Jasińskiego w Katowicach.

Naszym kapo był więzień z zielonym winklem, czyli bandyta, który siedział już dziesięć lat. Choć już odsiedział swoją karę, nie chcieli go wypuścić, aby nie niszczyć „ducha narodu”, więc nadal więzili go w tzw. Schutzhaft, czyli obozie chroniącym społeczeństwo przed takim „elementem”.

Takiego oszusta i kłamcy, jakim był ten kapo, w życiu nie spotkałem! Jak on potrafił cyganić, owinał sobie wokół palca Hauptsturmführera i robił sobie, co chciał.

Wychodził z postenem sam na miasto, zostawiał go na dole, a sam szedł do panny, którą miał w Dachau. Takie rzeczy były możliwe przy sprycie, jaki nabył i wykazywał przez lata więzienia. Obóz odczłowieczał, nie wszyscy zachowali się jako idealisci, choć byli i tacy, trzeba powiedzieć. Mieliśmy blokowego komunistę - idealistę, który patrzył na nas i traktował nas jak ludzi, podczas gdy byli i tacy, którzy traktowali nas tak samo jak strażnicy - byliśmy dla nich mierzwą ludzką. Kapo potrafił zabić współwięźnia - i nikt go z tego nie rozliczał.

Rok 1942 był najbardziej tragiczny z powodu głodu. Trudno opisać, co to jest głód. Tego po prostu opisać się nie da. To jest okropne - nie mieć możliwości zaspokojenia głodu. Inaczej przeżywa ten stan człowiek pod kroplówką, który wie, że będzie mógł swój głód zaspokoić. Ale kromka chleba i litr rzadkiej zupy dziennie... I pewność, że jutro będzie tak samo, to coś okropnego. Pewnie i mózg jest wówczas gorzej odżywiany. Kiedyś jeden z więźniów zbierał obierki ziemniaczane, żeby je zjeść. Wtedy mówimy mu: „Człowieku, przecież sobie tym zaszkodzisz, bo ściany żołądka nie wytrzymają tego”. - „A choćby i umrzeć, ale czymś ten żołądek napęlnić” - odpowiedział. Człowieczeństwo schodziło na drugi plan, niestety.

Pod koniec wojny zorganizowano burdel, z którego mogli korzystać także więźniowie. To też była próba człowieczeństwa. Ale idąc tam, musieli przechodzić obok naszego, XXVIII bloku, gdzie byli księża. Mówiliśmy im, żeby się opamiętali, że te kobiety to więźniarki z Ravensbrück, takie same jak oni ofiary systemu. Protestowaliśmy, tłumaczyliśmy im, że źle postępują, więc za karę zabrano nam dodatkowe porcje chleba i kiełbasy.

Inną plagą, poza głodem, był tyfus plamisty i brzuszny. Brzuszny był łatwiejszy do przeżycia, trwał 21 dni, a gorączka podnosiła się tylko w nocy. Gorszy był plamisty - trwał 9 dni, za to gorączka trwała nieustannie i zazwyczaj serce tego nie wytrzymało i chory umierał. Najwięcej ofiar było wśród niemieckich komunistów, gdyż oni siedzieli najdłużej, niektórzy po 10 lat, więc byli kompletnie wycieńczeni. Jak przyszedł tyfus, umierali jak muchy.

Gdy w obozie zaczęła się epidemia, na blok przyszedł esesman i powiedział, że my jako księża głosimy przecież miłość bliźniego, a ponieważ powymierali wszyscy blokowi i sztubowi, więc może ich zastąpimy przy tyfuśnikach. Poszliśmy pielęgnować chorych, bo nie chcieliśmy, żeby tacy ludzie zarzucili nam obojętność. Niektórzy spośród tych, którzy poszli do chorych, zarazili się i zmarli; pamiętam, że wśród nich był karmelita z Krakowa. A gdy umierało kilkanaście osób w ciągu doby, trudno było nie ulec psychozie śmierci. Ja też się zaraziłem i przeszedłem obie „wersje” choroby. Byłem tak wycieńczony, że ważyłem 39 kilogramów, tyle, ile połowa normalnego człowieka, skóra i kości. Gdy pojawiła się jeszcze biegunka potyfusowa, jeden ze współwięźniów - pielęgniarzy powiedział: „Ignąc, jeśli nie znajdziemy jakiegoś leku, jutro skończysz”. - Takim językiem wówczas mówiliśmy do siebie, bez ogródek.

On był jednocześnie pielęgniarzem na rewirze esesmanów, więc przyniósł opium i podał mi na kostce cukru, zaledwie kilka kropli. Zjadłem tę kostkę i efekt był natychmiastowy. Jak ręką odjął, wystarczyło i na drugi dzień byłem już zdrowy, choć byłem strasznie słaby, więc schowali mnie na trzecim piętrze pryczy w baraku dla tyfuśników. Nie pokazywałem się przy kontroli. Powoli dochodziłem do jakich takich sił.

Było potem jeszcze wiele innych sytuacji, gdy myślałem, że nie przeżyję. Któregoś dnia nagle wołają mnie na rewir, czyli do szpitala obozowego. Kładą mnie na stół, przywiązują, nic nie tłumaczą. W końcu okazało się, że będzie transfuzja krwi, bo dwóch esesmanów się pobiło i jeden stracił tyle krwi, że trzeba było go ratować. A od zapewnienia „dostawy” krwi byli więźniowie, mierzwa ludzka. Mam grupę Rh plus, pasowała do grupy pobitego esesmana. Władze obozowe miały to zanotowane w kartotekach, że jest wśród księży, czyli najmniej wartościowego „materiału” taki jakiś Jeź, co ma grupę Rh plus. Na szczęście dla mnie ten esesman umarł. W przeciwnym wypadku nie wiadomo, ile by krwi ze mnie wytoczyli, może wszystko?

Ale patrzyłem już na własną śmierć dość obojętnie. Udręczenie robi swoje, w takich warunkach śmierć jest wyzwoleniem.

We wszystkim jest Opatrzność Boża. Uwolnienie naszego obozu, który miał być zrównany z ziemią razem ze wszystkimi więźniami, żeby zlikwidować świadków. Nie zdążyli. Zaledwie kilka godzin, a dzięki nim my żyjemy. Czy to był przypadek, czy zbieg okoliczności? Tego się nie da racjonalnie wytłumaczyć.

Ślubowaliśmy św. Józefowi, gdyż najliczniejsza była grupa księży z Włocławka. A Kalisz leżał wówczas w diecezji włocławskiej. Obchodzili święto Opieki św. Józefa w środę po pierwszej niedzieli po Wielkanocy. Zbliżała się ta środa i podjęto taką myśl ślubowania św. Józefowi, a księża z diecezji włocławskiej przygotowali ten akt. Reszta uznała to za bardzo dobry pomysł.

Amerykanie uwolnili nas z obozu koncentracyjnego w Dachau 29 kwietnia 1945 o godzinie 17.00, zapowiedzieli nam, byłym więźniom, że muszą wprowadzić trzy tygodnie kwarantanny, gdyż panowała tu epidemia tyfusu. Dawali nam tylko biskwity, mleko i jajka w proszku, a my klęliśmy, bo chcieliśmy sobie pojeść, a oni karmili nas biskwitami. Nie wolno nam było opuścić obozu, więc mieliśmy dużo wolnego czasu i zbadaliśmy nasze własne akta w kancelarii obozowej. Wśród innych dokumentów znaleziono także plan likwidacji obozu, wyznaczony na niedzielę 29 kwietnia, na godz. 9.00 wieczór. Miał być wzniecony pożar i miał to być znak dla Dywizji SS Viking spod Monachium. Jednostka miała przyjechać i zrównać z ziemią baraki wraz z więźniami, żeby nie było świadków tego, co tam się działo. Między godziną uwolnienia obozu przez niewielki oddział amerykański, który odłączył się od głównych sił, a godziną wyznaczoną na realizację planu zagłady było pięć godzin różnicy. Gdyby Amerykanie przyszli kilka godzin później, zastaliby zgłiszczca i zbiorową mogiłę. Była w tym jakaś zagadka.

Znowu powiedziałem sobie, co za szczęście mieliśmy, co za dziwny zbieg okoliczności! A w rzeczywistości to Boża Opatrzność.